



DON ŻUAN AUSTRYACKI.

## WOJOWNIK I POETA.

*(Obraz historyczny)*

Karól V cesarz, zamknawszy się w kłasztorze Sgo Justa, zostawił synowi swemu Filipowi, niezmierne państwo i mnóstwo poświęconych i wiernych sług, gotowych służyć synowi, jak służyli ojcu, głową i ramieniem, w radzie i wojsku. W ich liczbie, najgorliwszym i najbardziej poświęcającym się był don Ludwik Quixada, wielki komandor Kastylii, mężny żołnierz, z sercem lwim i dziecęcim. Karol V ty, niezłomnie przywiązał go do siebie, nie tyle może wpływem geniuszu, ile raczej powierzeniem swoich słabości. Don Ludwik przeniosł na syna to przywiązanie i cześć, któremi tchnął dla Karola V. Był to z resztą szlachcic hiszpański starej daty, jakich widzimy na obrazach Welaskeza, poważny i wspaniały, a w obozowym życiu zachował wrodzoną szczerłość i prawość, tak dogodną i usłużną przebiegłemu Filipowi. Dla tego też Filip, obchodząc się z nim poufalej i otwarciój jak z innymi. Cały czas wolny od służby przy dworze, przepędzał don Ludwik Quixada nie daleko Walladolid, w zamku Villa Garcia, zajęty wychowaniem sieroty, o którym jego żona, Magdalena d'Ulloa, miała jak najtroskliwsze staranie.

Nikt w zamku, a nawet spowiednik dony Magdaleny, nie wiedział o dziecięciu więcej nad to co następuje.

Pewnego dnia, w r. 1546, podczas gdy Karól V ty był w Ratyzbonie i gdy mniemano że don Ludwik jest przy cesarzu, don Ludwik przyjechał wieczorem do Villa Garcia, sam, a nawet bez żadnego giermka. Przywiózł pod płaszczem, małeńkie nowo narodzone dziecię. Rozmówił się sam na sam z żoną, i téjże nocy wyjechał. Uważano że koń jego był niezmiernie zgrzany, a na czapraku nie było herbów domu Quixada. Tworzono wiele domysłów w zamku i w okolicy o tajemniczym dziecięciu, lecz powoli ustały za czasem, i obudzały je tylko niekiedy, nieważne zapytania jakiejś obcej osoby.

Dziecię zwane Jan, wychowało się w zamku pod okiem dony Magdaleny, szlachetnej kobiety, która z rezygnacją bywała u dworu w dniach etykietalnych, lecz szczęśliwszą była w ustroniu Villa Garcia. Czuła jej serce potrzebowało tylko macierzyńskiej rozkoszy, a téj odmówiły jej nieba. Przywiązała się więc do Jana, jako do ukochanego syna, czuwała nad rozwinięciem pierwszych jego myśli i młodego pojęcia. Była matką jego duszy i wywiera-

ła na niego wpływ wielki, którego skutków doznawał aż do kresu życia.

Quixada nie mnięgo kochał; gdy raz pożar wybuchnął w zamku, widziano iż wprzódy wyratował dziecię aniżeli żonę, i nie troszczył się po tém, iż płomień pożera dom jego przodków. Następnie sposobił go wszystkich ćwiczeń rycerskich, składających wychowanie młodego szlachcica, i do téj nauki duszy, której sam najlepszym był nauczycielem.

Jan, w krótcie przewyższył w zręczności wszystkich rywalów, których mu dodano dla podniecenia ochoty. Nikt lepij nie robił szpada, nikt lepijnie umiał zrzucać pierścienia, trzymać włóczni i kierować koniem.

Quixada spoglądał na niego z czułą radością. Zakonnik któremu powierzono ćwiczyć Jana w naukach, narzekał na mały postęp swego ucznia. Jan poprzestawał na tém że był odważny jak Cezar, lecz nie lubił jego języka. Łacina i książki były mu ze wszystkim nie do smaku.

Quixada zamierzał sobie napomnieć go surowo i wskazać mu potrzebę nauki; lecz gdy go tylko zobaczył, natychmiast zapominał o naganie i opowiadał mu piękne czyny znamienitych wodzów, z którymi żył za czasów Karola V go. — Jan słuchał go z zachwyceniem, a Quixada odchodził powtarzając sam w sobie, że chłopiec nie jest winnym, że nie potrzebuje umieć po łacinie, gdyż nie będzie duchownym; że i on sam nie mógł nauczyć się ani słowa po łacinie, a mimo tego jest dobrym katolikiem i prawym doradcą królewskim.

Towarzyszami zabaw i ćwiczeń Jana, były dzieci sąsiedniej szlachty. Quixada sprzyjał tym zabawom, urządził je i ustanowił nagrody dla najśmielszych. Starsi zajęli się temi dziecinnymi rozrywkami; a główne dni zgromadzeń stały się widowiskiem, na które przyjeżdżały damy w towarzystwie mężów.

Na tych turniejach, tak zgodnych z rycerskim duchem Hiszpanów. Jan zdobył pierwsze miejsce i nikt nie śmiał z nim walczyć o nie. Nazwijajenie do jego wyższości, uspiło samą nawet zazdrość, nikt nie mierzył się z nim na prawdę i nazywano zwycięzcą tego który po nim drugie miejsce zajmował.

W środku Września, ćwiczenia te odbywały się z największą uroczystością. Na ten dzień od dawna sposobita się każdego miłość własna. Widzowie przesadzali się w przepychu strojów, mułów i orszaku; młodzież zaś wdychała do wyznaczonych nagrod.

Nadszedł ten dzień uroczysty. Pośród szranek ocienionych rozłożystymi dęba-

mi, ubiegali się współzawodnicy. Jan okazywał zwyczajną zręczność i siłę, lecz znalazł godnego siebie rywala w młodzieńcu, którego prosty ubiór odbijał się od wytwornego ubrania innych. Ten młodzieńiec wyrównywał Janowi we wszystkich najtrudniejszych ćwiczeniach i zyskał życzliwość, która zawsze towarzyszy nowej sławie, wznoszącej się obok dawnéj już ustalonéj.

Tym razem ogłoszono drugą tryumfującą barwę, obok téj która dotąd tryumfowała sama. Uwagę i spojrzenia damściągnął już nie tylko sam Jan, piękny chłopiec z błękitnymi oczyma, lecz także i jego szczęśliwy współzawodnik, szlachetny młodzieniec, z postawą natchnioną, z śmiałym spojrzeniem, a którego usta zacienione były lekkim dopiero co wysypującym się wąsikiem.

Jan zapytał się kto jest ten nowo przybyły; nie wiedzano o tém. To tylko powiedzieć mogli, że od niejakiego czasu mieszkają w klasztorze Epine, gdzie przeorem był wuj jego.

Wkrótce potem, Jan, nie spuszczać go z oczu, ujrzał, iż jakby od niechcienia, konno puścił się ścieżką, którą tylko pieszo można było przebydź i to z niemałym trudem. Wsiadł natychmiast na konia i pojechał za nim.

Ścieżka ta mogła podobać się tylko poetom i awanturnikom, tyle na nią było przeszkód i zawał. Światło dnia ledwie dochodziło do niej; a jeżeli tu i owdzie promień słońca ciekawie przedzierał przez wysokie szczyty drzew tworzących jej sklepienie, gasła na gęstym pokładzie dolnej roślinności; grunt złożony z opadłych liści szeleścił pod nogami koni; tu i owdzie wysoka i gęsta trawa wykazywała bieg ukrytego strumienia, którego strzedz się należało. Naraście, w miejscu gdzie las już się przerzedzał, ciągnął się szeroki wąwóz; nie było na nim innego mostu, prócz starego wywróconego wiązu. Pierwszy podróżny, nie zważał wcale ani na przykrą drogę, ani na towarzysza który uporczywie jechał za jego śladem; zdawało się iż nie postrzega jak niebezpieczna jest przeprawa przez ten wąwóz. Puścił cugle koniowi i porucił się instynktowi zwierzęcia. Jan, stanąwszy nad brzegiem wąwozu, patrzył na tę niebezpieczną przeprawę, z tém okropnem zajęciem jakiego doznajemy widząc śpiącego lunatyka idącego spokojnie na krawędzi dachu; lecz gdy nieznanomy szczęśliwie stanął na drugiej stronie, uczył głęboką nienawiść ku niemu; zwrócił konia, spał go ostrogami, rozpedziwszy się przesadził wóz i stanął obok swego rywala.

—Niech diabli porwą natrętnika, pomruknął tenże, jak gdyby wychodził z zadumania; już go nie zobaczę... pojechał... A w tém, poznając przeciwnika:

—Niech cię Bóg strzeże, panie, rzekł do niego z uprzejmym uśmiechem.

—Czy jesteś szlachcicem? wręcz zapytał się Jan, jeszcze wzruszony nieco, tak gwałtownym skokiem.

Zagadnięty, zdziwił się tém zapytaniem i wahał się cokolwiek, nim rzekł:

—Lecz, gdybym nie miał prawa do tego nazwiska, nie mógłbym waleczyć z tobą.

Jan przygryzł usta i mówił dalej:

—Nie jesteś z téj okolicy. Skądże jesteś?

—Z Alcala de Henares, nie daleko Madrytu.

—I co tu robisz?

—Sam nie wiem dla czego ci odpowiadam, rzekł; kończę nauki w Madrycie, pod Janem Lopez szanownym nauczycielem, którego ci życzę. Ten człowiek nauczyłby cię wielu bardzo użytecznych rzeczy, a między innymi, kiedy masz dobrze mówić a kiedy milczyć.

—Rozumiem; a twój ojciec jak się nazywa?

—Na świętego Michała mego patrona! nie sądziłem że jestem tak cierpliwy, rzekł młodzieniec zatrzymując konia. Mój ojciec, przydał, nazywa się Rodrygues Cervantes de Saavedra; nie wiem czyli podobnie możesz twój wymienić.

—Za takie gadanie warto odpowiedzieć szpadą; nie prawdaż? rzekł Jan, zeskakując z konia.

—Jak ci się podoba; odpowiedział tamten. Spokojnie zsiadł z konia; na jedną rękę zarzucił cugle konia a drugą dobył szpady.

Przeciwnik ten nie wzruszony i oziębły, zajęty jedynie odbijaniem żelaza grożącego jego piersiom, miał wyższość nad burzliwym Janem, który nacierał na niego nie myśląc o własnej obronie. Jednakże został lekko pchnięty w ramię; lecz wówczas zmieniła się rola. Zaiskrzyły mu się oczy i za chwilę wytrącił szpadę z ręki Jana.

—A teraz, rzekł z szczerym uśmiechem wskazując na swoje ramię, twoja szpada zapłaciła za moje słowa. Oddaliśmy sobie wet za wet; przebac mi.

—Podaj mi rękę rzecze Jan, wolę być twoim przyjacielem niżeli nieprzyjacielem, a muszę być jednym albo drugim.

Dwaj młodzi ludzie wsiadli na koń i rozmawiali o swoich życzeniach i widokach.

—Ja, rzekł Jan, będę żołnierzem. Don Ludwik mój opiekun powiada, iż to jest najlepsze rzemiosło. Przynależę mi iż będę oficerem; będę dowodził żołnierzami; bę-



### WYDRA OSWOJONA W ZAMKU WILANOWSKIM.



dę sławnym! Król dowie się o moim nazwisku; może kiedyś przemówi do mnie.... Król!...

—Zapominasz o niedogodnościach tego stanu, odpowiedział jego towarzysz. Co do mnie, chcę oddać się poezji. W niej szukam szczęścia: chcę iść gdzie mi się spodoba, swobodny jak powietrze, patrząc na niebo, na drzewa, zbierając rozmaite pomysły, pielęgnując je troskliwie. A potem, wszystkie te pomysły któreś chował tak długo jak ukochane dziecię, gdy już wzrosną i dojrzeją, wydasz na świat, i stosownie do formy którą przybrały, widownie zgromadzą się w sali, aby je słuchać, albo czytając je i rozbiegając samotnie, oddadzą oklaski ich ojcu.

—Rozumiem cię, rzecze Jan; jesteś tém co to zowią poetą. Czy jesteś bogatym?

—Nie, rzecze Cerwantes: muszę pracować; lecz mało mam potrzeb, a za łaską Bożą wystarczą na to moje dzieci.

—Odpowiem ci na to, mówił dalej Jan; iż nie sądzę, ażeby poezja była rzemiosłem, a na wszelki przypadek dobrém rzemiosłem z którego wyżyć można. Pewnego dnia, przyszedł do zamku Villa Garcia, człowiek w sukniach brudnych i wyszarżanych. Dano mu inną odzież i nakarmiono go, gdyż nieborak umierał z głodu. Był to poeta, którego prosił don Ludwika aby mu pozwolił przypisać dzieło swoje. Odpowiedział nam swoje nędzne życie. Napisał

sztukę której klaskano wieczorem, lecz rano jego samego miano za nic; wierzyciele naciskają na niego, xięgarz mu nie płaci, nie zawsze ma kilka groszy na obiad. Skarżył się na swoich współtowarzyszów co go oczerniali w pismach, a jednakże zapewniał nas że z pomiędzy tych pisarzy on tylko sam jeden jest obdarzony talentem. Język jego nie przepuścił nikomu; o wszystkich źle mówił prócz o don Ludwiku, któremu nie ustannie pochlebiał. Nie mogę porównać cię z tym człowiekiem, ale obawiam się o ciebie. Mając takie uczucia, jakże zdołasz zarobić na życie?

Dziękuję ci, może prawdę mówisz. I ja także oddaję się moim złudzeniom.

—Nie bluźnij przeciw twoim nadziejom! mówił dalej Jan; trzeba w nie wierzyć. Widzę iż obydwa jednej rzeczy szukamy, ty przez poezję, ja orężem; to jest chwałę. I mnie i tobie przedstawia się ze smutnymi kolejami, które nie odstraszą stałych unystów.

—Ja tylko szukam szczęścia, odpowiedział Cerwantes.

Zapadający zmrok, zniewolił ich do rozstania się; jeden wrócił do klasztoru, drugi do Villa Garcia.

—A więc Michale, nie wierzysz w chwałę? rzekł Jan przy rozstaniu?

## II.

## MONT-TOROS.

W kilka dni potem, Jan otrzymał list od don Ludwika Quixady, donoszący mu iż nazajutrz przedstawi go królowi, podczas polowania w lesie Mont-Toros. Polecił mu zatem aby gotów był na wszystko co go spotkać może, gdyż dzień ten będzie obfitym dla niego w nieprzewidziane zdarzenia.

Pobiegł do donny Magdaleny, swojej matki, jak ją nazywał, i opowiedział jej swoje marzenia, nadzieje i szczęście.

—Janie, mój synu, odpowiedziała, jutro spotka ciebie wszystko czego pragniesz, a może i więcej. Jutro po raz pierwszy zobaczysz świat którego nie znasz jeszcze. Świat, Janie, nie jest jak matka. Dla wielu jest nieprzyjacielem, dla ciebie będzie czemś gorszym, będzie podchlebcą. Powinieneś zachować prawość twego serca, chociaż świat mało dba o to. Wszakże będziesz kochać prawdę? Ażebyś poznał tych którzy ci ją mówić będą, porównasz tylko ich słowa z temi któreś tu słyszał; gdyż tu postępowano z tobą jak z człowiekiem. Nie zapominaj o tem i bądź wdzięcznym, a to ci zjedna szczęście. Dosięgniesz wysokich stopni, i cieszyć się z tego, mówiła z płaczem; lecz opuścisz nas... Janie, Janie, nie zapomnij że jestem twoją matką.

Jan smutny był tego wieczora, gdyż donna Magdalena płakała, a w marzeniach nocnych nie widział tłumy klęczącego przed nim. Śniło mu się że jest paziem królewskim, po tem oficerem w wojsku; to jest marzył po prostu, o pięknych piórach, o hartownych szablach, o koniach andaluzyjskich i tym podobnych rzeczach.

Nazajutrz o świcie, obudziwszy się, nie mógł wrócić do zwyczajnego trybu życia; spotkała go przygoda Abul Hassana z powieści arabskich. Ludzie których nie znał cisnęli się do niego aby mu usługiwać; zamiast zwyczajnych sukien znalazł bogaty strój; a gdy się ubierał, małe szyby w oknie, drżały od przenikliwego dźwięku rogów.

Za kilka chwil potem, dosiadłszy dzielnego rumaka, towarzyszył don Quixadzie i zapuszczał się z nim razem, w lasy pokrywające okolice Villa Garcia i pochyłość góry Toros.

Obydwa milczeli zajęci myślami smutnymi i radosnymi razem. Jan obarczony był tak nagłą przemianą, która nie dozwalała mu zebrać myśli. W około nich panowała cisza i spoczynek, szmer owadów coraz bardziej ustawał, a gasnący powiew poranny ledwie poruszał liściem drzew. W dalekości tyl-

ko, dźwięki rogów myśliwskich zdawały się spór toczyć z odgłosem dzwonów klasztoru Epine.

Don Quixada i Jan nadstawili ucha na niespodziany szelest gałęzi w gęstwinie lasu i ujrzeli starego jelenia, którego rogi niezmierniej wielkości pokryte były liściami. Szlachetny zwierz zakłócony od rana w swoim schronieniu, chciał je opuścić. Zatrzymał się przed nimi, spojrzął i spokojnie wrócił do lasu.

Z tem wszystkiem, im bardziej zbliżali się do szczytu góry, tem bardziej powiększała się wrzawa. Żałosne wycie psów, krzyki i razy służących, głosy myśliwych, rozlegały się po lesie.

Dojechali nareście na szczyt góry Toros. Tam, wspaniałe ujrzeli widowisko. Obszerne i puste zazwyczaj płaszczyzny, ciągnące się od góry Toros aż do Walladolid, pokryte były tłumem w świąteczne suknie przybranym. Nieco bliżej stał świetny orszak konny, szlachty hiszpańskiej towarzyszącej królowi, a klasztor Epine przyparto do wzniosłych gór otaczających widokrąg, zaczętniałym obwiedzionym murem przypominał uroczystym biciem w dzwony, pośród radości i pychy, myśl o śmierci i pokorze.

Zaczęło się polowanie i kilku dojeżdżaczy wjechało galopem na drogę z której wjechali don Quixada i don Jan. Rozstawił się w niejakięj odległości tak, iż tylko jedno wyjście pozostało dla zwierza którego miano wyruszyć.

Don Quixada i Jan byli z tamtąd o kilka kroków. Komandor Kastylji zsiadł z konia razem z swoim przysposobionym dziećciem, i poprowadził go z obnażoną głową do stóp człowieka, który szedł na przód, przed tłumem panów i szlachty. »To król! rzekł Quixada.

Jan nie widział i nie słyszał: przed oczyma widział tysiące iskier, a w uszach czuł taki szum jak człowiek którego się topi.

W krótko uczuł iż go zatrzymała czyjaś ręka i ujrzął się w obec króla Hiszpanii, którego z uśmiechem zapytał się czy wie kto jest jego ojcem.

Jan zapłonił się patrząc na Quixadę.

—»Twój ojciec, rzekł do niego Filip, był wielkim człowiekiem, a teraz jest już w przybytku błogostawionych. Obydwa jesteście synami Karola Vgo. I uściskał go. »Mości panowie, rzekł obracając się do orszaku, oddajcie cześć don Janowi, xięciu Austrii bratu naszemu.«

Panowie najbliżej stojący i którzy słyszeli te słowa, zawołali: Niech żyje don Juan. Stojący dalej, mniemali że król rozkazał rozpocząć łowy. Natychmiast ruszy-

ło się wszystko. Psy spuszczone ze sfór, poszły, zabrzmiały rogi, jeleni wypadł na płaszczyznę, konie najmłodszych panów pobiegły w pogoń za nim w brawo przepisom etykiety, a ujadania psów, dźwięki rogów, rżenie koni, krzyki ludzi, w dzikiej połączone harmonii, zdawały się porywać w tym hałaśnym wirze całą okolicę i górę i lasy.

Król oświadczył że łowy już się skończyły, że nigdy nie były, tak pomyślnie, a wracając do Walladolid zapytał swego brata, o jego dotychczasowe zatrudnienia, do czego ma upodobanie i co sobie życzy.

—Dzięki niebu, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Jan, moje życzenia są takie jakie mieć powinien syn Karola Vgo i brat twój; pragnę być żołnierzem W. K. Mości.

Filip przeznaczał dla swego brata kapelus kardynalski i nic na to nie odpowiedział.

Gdy Monarcha przejeżdżał koło klasztoru, wyszli z niego w uroczystej processyi wszyscy zakonnicy i zaśpiewali hymn radości.

Jan zbliżył się na koniu ku młodemu człowiekowi, którego stał przy bramie klasztoru:

—Dzień dobry Michale, rzekł do niego.

—Dzień dobry Janie, odpowiedział tamten; mówią że syn Karola Vgo jest tu; pokaz mi go?

—Michale, rzekł Jan, powiadają że to ja; lecz nie jestem tego pewny.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## W Y D R A.

Zwierze to, postacią swoją ma wielkie podobieństwo do kuny, z tem tylko wyjątkiem, iż palce u nóg ma błoną porostę, do pływania, gdyż często w wodzie przebywa. Wydry znajdują się u nas, ale już bardzo rzadko. Długości ma do pół trzeciej stopy, włos siwo popielaty, skłniony, którego nie przyjmuje wody za życia zwierzęcia. Futro z wydry w znacznej jest cenie. Wydra utrzymuje się w wysokich brzegach rzek, jezior i sadzawek, w norach głębokich na 4 do 5 stóp, skąd wychodzi do wody na połów ryb, żab i raków. Nie może długo wytrwać bez powietrza i często z wody na wierzch wypływa. Wydra z przyrodzenia jest zapalczywym stworzeniem. Tam gdzie ludzi przeczuwa, siedzi spokojnie w dziurze aż do nocy, i wówczas dopiero na zdobycz wychodzi; w miejscach samotnych wychodzi także i we dnie. Jedna tylko wydra, może bardzo wyniszczyć ryby w stawie, coż dopiero gdy się ich

więcej znajduje?—Młode, schwyte bardzo wcześnie, dadzą się obfaskawić, ale z nie małym trudem.

W francuzkim Magazynie Malowniczym, na rok bieżący, z miesiąca Lutego, znaleźliśmy ciekawy artykuł o wydrze króla Jana Sobieskiego, wyjęty z owczesnych pamiętników pewnego szlachcica; umieszczamy go w przekładzie polskim, zrobionym z przekładu francuzkiego.

»Niezmiernie lubiłem oswajać zwierzęta najsprzeczniejszych nałogów i charakterów, i spoufalać je ze sobą. Na moim dziedzińcu, widzieć było można lisa igrającego z psami, a w izbie zając sypiał bezpiecznie na jednem pościu z pudlem. Łowy moje były celem podziwienia dla wszystkich. Gdy na nie wyjeżdżał z mego dworu, można było poczytać mię za Noego, otoczonego wszystkimi zwierzętami z arkł. Między moją psiarnią, znajdowała się kuna, borsuk, lis i zając, mający na szyi obrózkę z dzwoneczkami, sokół siedział na mojem ramieniu, a kruk tak wprawiony do chwytania kurobatek i zajęcy, jak sokół, ulatywał nad nami albo siedział na grzbiecie charta, którego rzucił się chcąc się pozbyć tak natrętnego towarzysza. Prości ludzie mieli mię za czarownika, niech im tego Bóg nie pamięta. Skoro tylko wypłoszono zająca, całe towarzystwo leciało za nim i jego obfaskawiony towarzysz czynił toż samo; jednakże gdy zając dościgniony skwierzeć zaczął, *oswojony jego kolega* uciekał do domu i przez cały dzień siedział w kacie.

»Najciekawszem zwierzem mojem, była wydra. Lubiłem ją bardzo. Sypiała zawsze w mojem łóżku; była z resztą niezmiernie zła. Gdy kto zbliżał się do mojej izby obudzała mię przytłumionem warczeniem, i zdarzyło się, że gdym poszedł spać nieco podchmielony i spał mocniej jak zazwyczaj, siadała mi na piersiach, rzucała się i tak hałasowała iż się musiałem obudzić.

»Nigdy nie jadła surowych ryb imięsa; w piątek i sobotę, musiano dla niej gotować kurczę albo gołębia i to jeszcze nie chciała jeść, jeżeli nie były zaprawione z pietruszką, gdyż bardzo lubiła to ziele.

»Ze wszystkich psów lubiła tylko jednego; chętnie się z nim bawiła, lecz wyprzedzała innych, a żaden nie śmiał ję zaczepić; lecz najszacowniejszym ję przymiotem było to, iż dostarczała mi tyle ryb ile tylko potrzebowałem na kuchnię. Skoro tylko rzekłem do niej: »Moja kochanko, mam gości, trzeba mi ryb na obiad« zanurzała się w stawie i wynosiła sztuka po sztuce. W post wielki była niespracowana. W owęj porze roku, zawsze miewa-

tem wiele gości. Ona dostarczała ryb dla wszystkich. Zawsze brałem ją w drogę, a gdy przejeżdżał koło stawu lub rzeki, pewien byłem iż mieć będę ryby na obiad i na wieczrę. Lecz zdarzyło się że król Jan III. nasłuchawszy się tyle o mojej osobliwej wydrze, zażądał ażebym mu ję ustąpił, ofiarował mi w zamianę dwa piękne arabskie konie i tyle pieniędzy ile sam zechcę. Żal ścisnął mi serce, opierałem się długo, lecz nareszcie widząc iż nie odstępuję od swego, umyśliłem podarować ją królowi. Gdy wsadził moją kochaną wydrę do klatki, aby ją postać ję nowemu panu, biedaczka zaczęła krzyczeć i wyć tak boleśnie, że m uciec musiał zatkawszy sobie uszy; nigdy tyle nie ucierpiałem. Przywieziono do króla wychudłą i smutną. Skoro tylko kto chciał się z nią pieścić, wyszczerzała zęby ze złością. Pewnego razu król rzekł do królowej. »Marysiu, cóż ci się zdaje, gdybym też ją pogłaskał? Królowa krzyknęła prosząc męża aby tego nie czynił; jednakże król posunął rękę, mówiąc. »Jeżeli mię nie ugryzie będzie to dobry znak.« Pogłaskał ją, a zamiast ugryzienia zaczęła się łasić, co tak bardzo zabawiło króla, iż od tęg chwili bez ustanku bawił się z nią i wywieźć kazał ulubionego bobra i ostrowidza które miał w zwierzyńcu. Posyłając wydrę, napisałem cały arkusz instrukcyi jak się z nią trzeba obchodzić i jak ją żywić; zastosowano się do mojej rady i wydra powoli przyzwyczaiła się do nowego pomieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegła po łąkach i gajach zamku Willanowskiego, postrzegł ją żołnierz od pociagu, zabił ją kijem i za złotówkę sprzedał ję skórę żydowi. Skoro postrzeżono że nie ma wydry, okropny hałas zrobił się w zamku. Zaczęto szukać i wkrótce wysłędzono prawdę. Gdy skórę pokazano królowi, uniosł się wielkim gniewem, i kto wie coby się stało z owym żołnierzem, gdyby xiądz biskup spowiednik królewski nie był wstawił się za nim i nie pohamował króla.

## O TREFNISIACH CZYLI BŁAZNACH.

Odwieczny jest początek błaznów, to jest ludzi, których jest zajęciem bawić i rozśmieszać drugich. Ale odkąd się stało popłatnym rzemiosłem sprawujących je dla zysku, z pewnością czasu oznaczyć niemożna. Zawsze ludzie bawić się lubili z cudzą szkodą; królowie płacili takich, którzy by ich rozśmieszali, ztąd powstały błazny nadworne; naśladowali ich możniejsi i

swoich także mieć cheieli. Ukazywali się taey na widowiskach publicznych, śmiał się z nich gmin i płacił ich za to. Tych, którzy nadywali głębę, aby odebrane policzki głośnieji odbijały, dla wzbudzenia większego śmiechu; zwano po łac. *buffo*, ztąd urosł wyraz francuzki *bouffon*. — Jedni byli, którzy pokazywaniem sztuk różnych do wykonania trudnych i nie trudnych, bawili widzów, zwani byli po łacinie *histriones*, u nas *kuglarze*, od zręcznego kul rzucania i chwytania; inni od miotania się w kłębach, stawiania koziołków, po łac. *petauristae*, po pol. *mietelbicy*; inni skakali przez obręcze, podrygali w uczonych pługach, po łac. *saltatores*; po pol. *skoczki*; inni gry wyprawiali w migach, po łac. *mimi*, po pol. *podrzeźniacze*, jak tłumaczy Knapski; lubo tych okrywano ogólnym wyrazem błaznów, ci z nich jednak, których trefniami zwano, byli wcale innego rodzaju; nie bawili oni jak tylko dowcipem i żartami, przymówkami śmiałymi, ucinkami i drwinkami, uszczypliwo mi najwięcej; wyraz łaciński, który im dawano: *morio*, *sannio*, *scurra*, nie miały wcale dobrego znaczenia, tak jak u nas *blazen*, lubo w swym pierwiastku *blagi*, od którego pochodzi, szczęśliwego i wesołego tylko właściwie znaczył, i mógłby nawet przystać najrozsądniejszemu mędrcom. Chociaż mówią z Cyncerem, jestli co tak nierozumnego, czego by który nie pomyślił filozof? Spodliliśmy wyraz *blazna*, uważając go pospolicie w złem znaczeniu, jako głupca w postępowaniu i w mowie; w tęg też chcąc wyrazić papiącego bez braku, co mu ślina do ust przyniesie, *blazgon* mówimy. Trefnis wyraz lepiej znaczy, bo od trafnego dowipu od trefnowania, czyli żartowania pochodzi.

Co na dworach panów byli trefnisie, to *wesolkowie* u ludu pospolitego. W niektórych ziemiach kraju naszego używani są dotąd dla większęg zabawy obchodów weselnych. Przybrany maszkarnie wesołek, jeden lub więcej, skacze z wiechą, śpiewa i różne sztuki wyprawia przed drużyną, prowadząc państwo młode do miejsca biesiady. Tych, którzy śpiewem lud bawili, *smykami* zwano. Strój błaznów bywał pospolicie pstry i szachowany, z przydatkiem dziwnych wisiadeł. Rej opisując w wizerunku człowieka dwór Wenery, tak go kreśli:

A za niemi błazenek w kukli i z cepami.  
Zowią go *stultitia*, a pas okowany;  
Uszy, jako u sarny u nich wiszą dzwonki,  
A cepy na pstrym kiju z listem i ogonki.

Nie wielu trefnisiów, chociaż ich pewnie było nie mało, pamięć doszła czasów naszych. Najdawniejszego z nich czytamy

*Bieńka*, czyli *Bieniasza*, który był nadwornym trefniem Szydłowieckiego Krzysztofa, Kasztelana i Starosty krakowskiego i Kanclerza W. Kor. Dowcipny on był w żartach i wesoły, ale nikogo nie obrażał. Gdy pan Krakowski frasował się i smucił, on wtedy go najwięcej rozerwać i przywieść do śmiechu usiłował. Siedział raz pod oknem, z którego pan Krakowski pooglądał zamyślony na otaczające zamek jego łąki, wody i gaje. Bieńko wrzekomo chciałby wskoczyć do okna, po kilka kroć się zapędzał. Czego, gdy dokazać nie mógł, bo nad dwa chłopy dobrze wyżej było, przyniósł drabinę, i z głośnym śmiechem wlaźł po niej do okna. Cóż to Bieńku znaczy? rzekł Kasztelan do niego.—Tak panie róbcie, jak ja, a nie będziecie mieli przyczyny, tak często się kłopotzić z waszemi myślami. Nie mogłem wskoczyć, a snadno po drabinie wlaźłem.

Śmiał się zawsze z tego zwyczaju, przez który godniejszy brał zawsze prawą stronę, i pospolicie po przed innymi chadzał.

Nagrobek *Bieńka* opisuje, iż był bardzo nabożny, miłosierny dla biednych, wielomowny, a samą postacią ułożoną ku temu, do śmiechu pobudzał. Umarł roku 1516.

*Stanisław*, pospolicie zwany *Stańczyk*, trefniś nadworny dwóch królów *Zygmunta*, I. i *Zygmunta* Aug., których żartami i sztukami swemi rozśmieszał, dowcipem bawił. Rodu i życia jego żaden nam ślad nie pozostał. Niektóre powieści i żarty jego zachowali nam pisarze, jako i to, że wielce był kochany i wzięty, nieraz zdrowe dawał przestrogi, a zawsze prawdę mówić lubił.

*Gaska*, trefniś za panowania *Zygmunta* Augusta. Jan Kochanowski, pisząc mu w swoich fraszkach nagrobek, zawarł o niem wiadomość, której gdzie indziej znaleźć nie można; jako pod *Eperiaszem*, czyli *Preszowem* harcował, jako nagabany i szarpany od swawolnych żaków, głaty na nich, czyli kule od strzelby ręcznej sypał; że nosił odzież szachowaną, i takowę dla pamiątki stanu, w którym życie przepędził, nad jego grobem zawiesić, a razem stosownie do jego nazwiska gęś twarodo kowana, radzi.

»A to, żeby mógł każdy, kto tędy przebieży»  
»Domyśleć się zarazem, że tu *Gaska* leży»

Tenże poeta, w drugim dlań nagrobku wyraża, że żył lat 80, że śmierć tak długo czekała, aby się poprawił i mówił grzecznie.

»Nie mogła się doczekać, błaznem go tak wzięła,

»I tąż drogą, gdzie mądre zajmuje, pojęła.

Był *Gaska* spółczesnym *Stańczyka*, bo w wyrządzonej błazeństwie jakiejś kobiecie, w parze ich Kochanowski kładzie.

*Antoni Rialto*, *Włoch*, rodem z Bononii, w młodości na komedyanta się sposobił i grywał na przenośnych teatrach. Wędrował po różnych krajach, szukając zdarzenia, któreby mu los dobry zrobiło. Oprócz rodowitego języka, nauczył się po niemiecku, rossyjsku, polsku, kroacku mówić i tłumaczyć. Zaczawszy od niższej pokojowej służby, którą u dworów możniejszych sprawował, u *Dymitra* samowznanca na pufnika do tajnych poleceń wykierował się.

Z miasta Moskwy dostawszy się do Polski, w domu *Stan. Ostroroga* Wojewody poznańskiego, był syna jego *Mikołaja* nauczycielem. Nie za naszych więc tylko czasów, ładajakim włóczogom, byle cudzoziemcom, niebacznie powierzano wychowanie dzieci. Poznawszy się na nim *Ostroróg* wojewoda, że zdatniejszym był śmieszyć, niżeli uczyć, polecił go *Zygmuntowi* III. królowi, jako trefnisią, i tam lat kilka króla i dwór jego bawił. Nudził go nareszcie ten życia sposób, do którego przychylącym się wieku, coraz mniej czuł się sposobnym. Oddaliwszy się od dworu, przybył do Poznania, w tym właśnie czasie, gdy grali komedycę uczniowie szkolni, a w tej udawano osobę śmieszna trefnisią *Rialto*. Rozgniewany *Włoch* o to, gdy i na ulicy szydzono z niego, spotkawszy aktora, porwał się nań do kija i uderzył. O mały tej nierozwagi życiem nie przyjął. O trefniśiach przy dworach zachodniej Europy, później damy wiadomość.

#### DONIESIENIE LITERACKIE.

Wyszły już cztery zeszyty *Podróży* *Malowiczkiej* po Europie, obejmujące opis *Włoch*, pod redakcją *F. S. Dmochowskiego*, ozdobione 16stą rycinami przez *F. A. Dietrich*. Znajduje się w nich opis *Piemontu*, *Lombardyi*, *Xięstw* *Modeny*, *Luki*, *Parmy* i *W. Xięstwa Toskanii*.—Dzieło to kosztuje dla prenumeratorów zł. 15. na cały rok 1837. Po zamknięciu prenumeraty, kosztować będzie zł. 21.